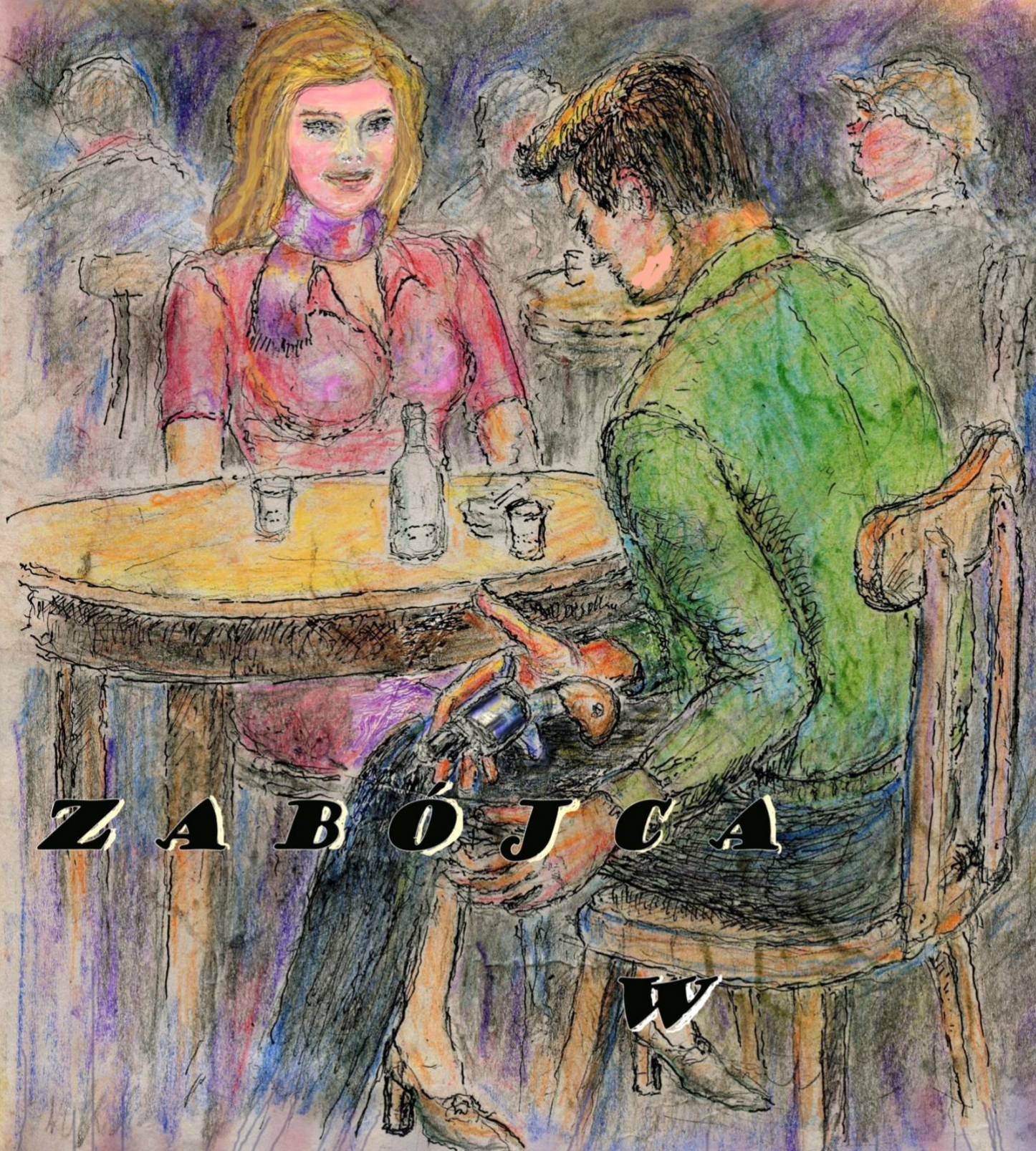


KAZIMIERZ JUNOSZA



Z A B Ó J C A

W

B E Z P I E C E

KAZIMIERZ JUNOSZA

ZABÓJCA

W

BEZPIECE

Wałbrzych 2023

Redakcja korekta
Tadeusz NTG Gingerski

Okładka ilustracje
Kazimierz Junosza

Skład łamanie
Albert Leconte

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

ISBN PDF 978-83-967245-0-2

ISBN epub 978-83-967245-1-9

ISBN mobi 978-83-967245-2-6

e-mail: kazimierzjuno@gmail.com

Wałbrzych 02 02 2023

Notka autobiograficzna

Studiowałem mechanikę, potem architekturę na Politechnice Wrocławskiej, po czym podjąłem pierwsze próby pisarskie. Były nieudane, więc postanowiłem spróbować sił w filmie. W Studenckim Centrum Filmowym „Stodoła” wygrałem konkurs na scenariusz i przystąpiłem do realizacji autorskich filmów krótkometrażowych. Mój film „Idole” okazał się najlepszym obrazem, stworzonym w SCF. Jednak nie dostałem się do łódzkiej filmówki (PWSTiF) na wydział reżyserii.



Kazimierz Junosza (przed laty) w czasie pracy nad autorskim filmem „Idole”.

Wróciłem więc do pisania.

Początkowo w miarę udanymi próbami literackimi były bajki dla dzieci, po czym zająłem się pisaniem opowiadań i wreszcie powieści. Kilka opowiadań opublikowano mi w warszawskich miesięcznikach literackich Nowy Wyraz i Okolice. (Ukazały się w Empikach całej Polski przed transformacją ustrojową). Moja pierwsza powieść „*Kłamać, aby żyć*”, została wydana w 2014 roku, w nakładzie wydawnictwa CB. W sierpniu (2021.) na półkach księgarskich ukazała się kolejna książka „*Buntownik, Jak oszukiwałem służby specjalne PRL*”. Mam też gotową powieść „*Zabójca w bezpieczeństwie*”. Zgromadziłem także materiały do kolejnej książki i zbioru opowiadań „*Z dziejów starego Wałbrzycha*”.



Kazimierz Junosza (zdjęcie współczesne).

SPIS TREŚCI

NOTKA AUTOBIOGRAFICZNA.....	4
SPIS TREŚCI.....	5
PROLOG	7
ROZDZIAŁ 1 ŻYCIOWE WYBORY JURKA WOŁCZECKIEGO	10
ROZDZIAŁ 2 DWÓR W ZAKLICZYNI.....	18
ROZDZIAŁ 3 MINI REWOLWER	22
ROZDZIAŁ 4 PRZED WSTĄPIENIEM DO BANDY	27
ROZDZIAŁ 5 TRZECIE ZABÓJSTWO	30
ROZDZIAŁ 6 POD MOSKIEWSKĄ OPIEKĄ.....	38
ROZDZIAŁ 7 UPADEK ZAKLICZYNA	44
ROZDZIAŁ 8 POLOWANIE NA MĘŻA.....	49
ROZDZIAŁ 9 ZŁAPAC OGNIĄ	56
ROZDZIAŁ 10 WEJŚĆ W ŁASKI UBEKÓW	64
ROZDZIAŁ 11 ZŁAPAC CHERUBINKA.....	71
ROZDZIAŁ 12 U ŚWIĘTEGO MICHAŁA.....	78
ROZDZIAŁ 13 JESTEŚ MÓJ CHERUBINKU.....	87
ROZDZIAŁ 14 W WIGILIĘ SŁYNNEJ AKCJI	93
ROZDZIAŁ 15 PECH RUSKIEGO AMANTA	98
ROZDZIAŁ 16 PRZED AKCJĄ.....	102
ROZDZIAŁ 17 AK ROZBIJA WIĘZIENIE.....	106
ROZDZIAŁ 18 PO UCIECZCE ZE ŚW. MICHAŁA	115
ROZDZIAŁ 19 RATOWAĆ FAŁSZYWĄ BOHATERKĘ.....	121
ROZDZIAŁ 20 KONSTERNACJA WŚRÓD UBEKÓW	126
ROZDZIAŁ 21 TRZEBA SIĘ RATOWAĆ.....	131
ROZDZIAŁ 22 SIELANKA TONIA.....	140
ROZDZIAŁ 23 PĘTLA SIĘ ZACISKA, A JUREK MA PROBLEM.....	148
ROZDZIAŁ 24 UPADEK TONIA	156
ROZDZIAŁ 25 UBECY, HRABIANKI I KONIE	168
ROZDZIAŁ 26 ARESZTOWANIA I SĄDOWE MORDY.....	177
ROZDZIAŁ 27 MIŁOSNE ZAWIROWANIA.....	185
ROZDZIAŁ 28 MORD Z MIŁOŚCI.....	192
ROZDZIAŁ 29 UBECKA UROCZYSTOŚĆ	200
ROZDZIAŁ 30 ŚMIERĆ OJCA.....	207
ROZDZIAŁ 31 ANYŻOWE CIASTECZKA	213
ROZDZIAŁ 32 DOKUMENTY MOJEGO DOMU.....	219
ROZDZIAŁ 33 INTERWENCJA KOPYTOWEJ	225
ROZDZIAŁ 34 W MICHALIKOWEJ JAMIE - PROBLEM UBEKÓW	232
ROZDZIAŁ 35 KULTURALNE I INNE UBECKIE ROZRYWKI	237

ROZDZIAŁ 36 ŚMIERTELNY POJEDYNEK	246
ROZDZIAŁ 37 WIELKODUSZNOŚĆ PIKUTA.....	252
ROZDZIAŁ 38 PRZEŁOM.....	256
ROZDZIAŁ 39 PLANY PORWANIA I UCIECZKI.....	262
ROZDZIAŁ 40 NA URLOP Z MAJOREM.....	268
ROZDZIAŁ 41 SREBRNA FALA	274
ROZDZIAŁ 42 <i>POLSKO RADZIECKI INCYDENT</i>	279
ROZDZIAŁ 43 KLACZ MICHELLE.....	284
ROZDZIAŁ 44 Z UPRAGNIONYMI KOBIETAMI	290
ROZDZIAŁ 45 SPOTKANIE Z MORDERCZYNIĄ	297
ROZDZIAŁ 46 ROSINENBOMBER.....	304
ROZDZIAŁ 47 POCZĄTEK AKCJI	309
ROZDZIAŁ 48 KOLEJNA FAZA UCIECZKI.....	312
ROZDZIAŁ 49 SPEŁNIONE OCZEKIWANIA	317
ROZDZIAŁ 50 KATUSZE UBECKIEGO KIEROWCY	323
ROZDZIAŁ 51 TRUDNA CZĘŚĆ UCIECZKI	328
ROZDZIAŁ 52 NADMORSKI KURORT	334
ROZDZIAŁ 53 PRZEZ GRANICĘ	339
ROZDZIAŁ 54 WE WSCHODNICH NIEMCZECH.....	345
ROZDZIAŁ 55 DO WOLNOŚCI.....	354
POSŁOWIE.....	362

Prolog

Oficerskie słowo honoru dla przedwojennych wojskowych zobowiązywało do mówienia prawdy lub rzetelnego spełnienia obietnicy. Ktoś niedotrzymujący słowa tracił dobre imię i szacunek. Kanony etyki przedwojennej armii obowiązywały w Armii Krajowej, której etos tkwił w żołnierzach niepodległościowego podziemia zwalczanego przez bezpiekę. Urząd Bezpieczeństwa stworzony przez służby sowieckie, w celu podporządkowania władzom Kremla okupowanej Polski ignorował etykę i jakiegokolwiek zasady moralne. Funkcjonariuszy śledczych sowiektyzujących nadwiślański naród nie obowiązywały żadne zasady. Przesłuchiwanym niejednokrotnie dawali „oficerskie słowo honoru”, na przykład obiecując amnestię członkom patriotycznego podziemia, którzy złożą broń i zaprzestaną walki z nowym okupantem.

Kłamali! Nazajutrz aresztowali, tych, co uwierzyli w zapewnienia bezpieki, poddawali ich ponownie okrutnym śledztwom. Pojęcie „oficerskiego słowa honoru” ubecy mogli między sobą wyśmiewać jako zabawny archaizm w rodzaju pieska pudła ubranego w melonik i krawat. Pewnie rechotali z naiwności aresztowanych akowców, którzy dali wiarę ich obietnicom.

Główny bohater powieści Jurek Wołczecki vel Bystry jest wychowankiem przedwojennej szkoły złodziejskiej. Podejmuje pracę oficera śledczego w UB, w obawie o własne życie. Znalazł tam azyl przed wyrokiem śmierci otrzymanym od legendarnego podhalańskiego partyzanta Ognia, walczącego przeciw zniewoleniu Polski. Wołczecki ma żal do Ognia za obarczenie go winami i zbrodniami, których nie popełnił. Pracując w instytucji łamiącej kręgosłup moralny rodakom, zmagął się ze sobą. Mierziła go brutalność, chamstwo i sowieckie metody aparatu represji w walce ze społeczeństwem. Nawet znane mu środowisko złodziejskie miało etyczny kodeks, w przeciwieństwie do pozbawionych jakichkolwiek skrupułów ubeków.

Wołczecki ma wyrzuty sumienia wobec osobiście aresztowanej pięknej dziewczyny – *żołnierki niezłomnej* – poddanej torturom przez ubeckich oprawców. Bliską śmierci ofiarę męczarni wynosi z katowni UB do aresztanckiego lazaretu. Tam pomaga ją pielęgnować, dyskretnie wzbogacając jej skromną dietę. Między młodą parą zaczyna rozkwitać uczucie. Jednocześnie Wołczecki vel Bystry wzmacnia swoją pozycję w strukturach UB. Zdobywa zaufanie swego bezpośredniego przełożonego majora Pachcica (postać historyczna ze zmienionym nazwiskiem), dokonując błyskotliwymi działaniami przełomu ułatwiającego bezpiece zacieśnianie sieci wokół Ognia. Jednak śmierć ojca Jurka, który wyrzekł się go jako syna za przystąpienie do gnębiącego naród UB, także bohaterska śmierć brata partyzanta AK oraz rodzące się uczucie do zaaresztowanej dziewczyny, dokonują w nim wewnętrznej przemiany. Wiedząc, że ozdrowiała dziewczyna będzie

skierowana na kolejne śledztwo, planuje porwanie kochanki z aresztu śledczego. Zamierza z nią uciec do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Berlinie Zachodnim.

Równoległe do głównego wątku fabularnego powieść zawiera opis spektakularnej akcji Ognia, jaką było rozbięcie więzienia świętego Michała, Uczestniczyła w niej zaprzysiężona przez uwięzionych oficerów na żołnierkę AK strażniczka Irena Odrzywołek. To relacja o jej niezłomnej postawie i tragicznej śmierci.

Innym epizodem przeplatającym się i powiązanim z dziejami Jurka Wołczeckiego są powojenne dzieje atrakcyjnej wdowy po włoskim arystokracie zamordowanym przez NKWD w Katyniu. (Pochodząca ze zubożałej szlachty Amelia była – autora – ciotką).

Pikanterii powieści dodają dzieje urodziwej krakowskiej kurtyzany, osoby także powiązanej z głównym bohaterem. Kobieta uwięziona przez gestapo dokonuje morderstw w oświęcimskim obozie jako funkcyjna kapo. Po wojnie, aresztowana przez milicję czeka na wykonanie wyroku śmierci w więzieniu św. Michała. Jednak udaje się jej zbiec wraz z żołnierzami niepodległościowego podziemia uwolnionymi dzięki akcji partyzantów Ognia. Po ucieczce kurtyzana popełnia kolejne morderstwo...

Czytelnik poszerzy znajomość procesu zniewalania polskiego społeczeństwa na wzór sowiecki, także łamanie karku moralnego rodaków przez rozbudowę sieci agenturalnej i kłamliwą propagandę trafiającą nierzadko na podatny grunt zmęczonych wojną zubożałych Polaków.

Tworząc „Zabójcę w bezpieczeństwie”, posługiwałem się prostym językiem. Chcąc trafić do szerokiego spektrum czytelników, nadałem książce cech powieści akcji, nie poskąpiłem odbiorcom scen erotycznych. W dialogach przestępców i ubeków nierzadko padają wulgaryzmy, wszak tak rozmawiali na co dzień, więc nie siliłem się na eufemizmy.

Aby nadać powieści wiarygodność, zdecydowałem się na ilustrowanie książki dokumentalnymi fotografiami. Nie mogąc jednak pokazać zdjęciami jej fikcyjnych bohaterów, pozwoliłem sobie na własnoręczne wykonanie kilku ilustracji oraz wstępną propozycję okładki.

W obszernych materiałach historycznych nie znalazłem odpowiedzi na pytanie: jak UB aresztowało syna zdrajczynie Stefani Kruk? Szantażowana, współpracująca z Ogniem kobieta, podjęła, z bezpieczeńką współpracę zgubną dla legendarnego partyzanckiego dowódcy. Uzupełniłem więc tę lukę wiedzy literacką fikcją.

Podobnego zabiegu dokonałem, rozszerzając opis przeżyć *niezłomnej bohaterki* Ireny Odrzywołek – postaci historycznej – bardzo skrótowo opisaną w dostępnych materiałach.

Inspiracją do pisania powieści były zasłyszane w młodości opowieści rodzinne oraz wiedza historyczna pogłębianą w czasie pisania książki o niezwykle burzliwych wydarzeniach okresu powojennego. Zależało mi na oddaniu dramaturgii tamtych dni.

Kazimierz Junosza

Rozdział 1 Życiowe wybory Jurka Wołczeckiego

Jurek Wołczecki, który przestępczą karierę zaczynał w wieku lat czternastu, pochodził z krakowskiej rodziny kupieckiej. Uczono go kulturalnych manier i starano się mu zapewnić solidne wykształcenie. Wadą Jurka, która niepokoiła rodziców, była niechęć chłopca do szkolnych obowiązków. Zapracowani rodzice nie zauważyli, kiedy on – najstarszy z trójki synów – latem 1935 roku zaczął obracać się w podejrzanym towarzystwie. Zaimponował mu kuzyn kolegi spędzający kilka dni w rodzinie z sąsiedniej kamienicy. Zamieszkała w pobliżu rodzina nie cieszyła się dobrą opinią, dlatego Jurek, grożąc pobiciem, zabronił młodszym braciom mówić o przyjaźni łączącej go z kolegą z sąsiedztwa. Ów o cztery lata starszy od nich kuzyn kolegi, prezentujący się jak wiedeński elegant, był zawodowym złodziejem, świeżym absolwentem renomowanej – jak twierdził – szkoły lwowskich doliniarzy.

Na oczach ubezpieczających go sąsiada i Jurka pokazał, jak efektownie zarabia się pieniądze. Demonstracji dokonał w Sukiennicach wypełnionych jak zwykle w porze południowej tłumem kupujących. Frajera, próbującego pewnie kupić drogą biżuterię, wytypował na widok wyciąganego pękatego żółtego portfela koło stoiska jubilerskiego. Jurek, szybko oddychał z podniecenia. Ujrzał, jak wytworny złodziej pochylił się nad gablota z złotymi pierścionkami, lekko trącając upatrzonego jegomościa, po czym go przeprosił.

Za chwilę Wołczecki zaniemówił, nie mógł wykrztusić do kolegi słowa. To niemożliwe! Na jego oczach, żółty, napęczniały z lśniącej skóry portfel, szemrany elegant płynnym ruchem umieścił w kieszeni marynarki sąsiada, rówieśnika Jurka. Oddalił się szybkim krokiem, łobuzersko się uśmiechnął i puścił do chłopców oko.

– Co chłopczkowie, pewnie jesteście głodni – zagadał parę minut później, kiedy spotkali się w umówionym miejscu na ulicy Floriańskiej.

Złodziej odebrał przechowany przez kolegę portfel. Zanim schował do kieszeni, chuchnął na zdobycz i patrząc na młodszych pomagierów, powiedział:

– Teraz zapraszam do restauracji Hawelka.

Wołczecki nie należał do ubogich chłopców, jednak rzadko bywał w restauracjach, a tak smakowitych dań jak zraziki po nelsonsku oraz lodowy deser z kawą parzoną w ekspresie, dotąd nie kosztował.

Gdy wraz z przyjacielem i uwiedzioną przez kieszonkowca dziewczyną odprowadzali złodzieja na kolejowy dworzec, Jurek zadał mu pytanie.

– Długo się trzeba uczyć, żeby osiągnąć twoje umiejętności?

– Sam się nie nauczysz. Jakbyś miał możliwość zamieszkać we Lwowie, to może mógłbym ci pomóc.

– Mam tam ciotkę, siostrę matki – szybko wyrzucił z siebie podekscytowany Jurek. – Rodzicom powiem, że w gazecie wyczytałem o lwowskiej prywatnej szkole dla przyszłych kupców. Może się zgodzą na mój wyjazd.

Elegancki złodziej dotrzymał słowa. Gdy spotkali się we Lwowie, przedstawił Jurka dwóm jegomościom prezentującym się jak on elegancko. Byli odziani w drogie i świetnie na nich leżące garnitury. Następnego dnia na umówionym spotkaniu, na które przybysz z Krakowa chętnie przystał, zaproponowali edukację w szkole złodziejskiej. Obiecywali atrakcje życia w luksusach z emocjami i dreszczykiem, które w przyszłości miały być nagrodą za trudy kształcenia się pod okiem wybitnych specjalistów. W międzyczasie o lwowskich szkołach dla kieszonkowców Jurek czytał w brukowcach. Ponoć w środowisku doliniarzy miały renomę czołowych w Europie.

Jednak już po dwóch tygodniach uczęszczania na popołudniowe kursy, po raz pierwszy w czasie zajęć praktycznych, otrzymał bicie harapem. Dyrektor szkoły Moryc Szajbe trzosem rzemieni zakończonych gruzelkami bił z całej siły po nogach.

– Zbiera się na płacz? – zapytał, wpatrując się przenikliwie w nabrzmiałe od łez oczy Jurka.

– Ale skąd – odpowiedział chłopiec, wiedząc, że za okazywanie słabości poczuje dodatkową porcję mocno piekącego bólu.

– To masz małą dokładkę – z cynicznym uśmieszkiem powiedział mistrz złodziejski i chlasnął go w nieobolałe jeszcze udo.

Bicie, często stosowane w szkole adeptów doliniarstwa, służyło wyrabianiu charakterów. Zaprawieni w znoszeniu bólu przyszli złodzieje, zaaresztowani przez policję, nie załamywali się łatwo w czasie śledztw.



Jurek zaczął zdawać sobie sprawę, że z deszczu wpadł pod rynnę. Zajęcia były trudne wymagające elastycznych palców. Za pierwszym razem uśmiechnął się na widok manekina, którego postrzępiony słomkowy kapelusz skojarzył mu się ze strachem na wróble. Zarówno słomiane rondo kapelusza, jak i rękawy, a nawet niewidoczne wnętrza nogawek, obwieszane były dużą ilością małych dzwoneczków. Przez pierwsze dwa tygodnie Jurek zachęcany do ćwiczeń próbował wskazanymi chwytami wyjmować portfel z różnych

kieszeni manekina. Nie znosił dzwoneczków, co chwila sygnalizujących jego nieudolność.

Znacznie lepiej udał się Jurkowi sprawdzian z kamuflażu. Uczono złodziejskich adeptów, jak się wydestawać z policyjnej obławy. Przekonująco ucharakteryzował się, udając kalekiego młodzieńca. Zaśmiali się egzaminowani adepci szkoły na widok wychodzącego z przebieralni zgarbionego Wołczeckiego w okularach o przyciemnionych szklach. Pod długim płaszczem chował zgiętą i przywiązaną do tylnej części uda łydkę. Jurek, podpierając się kulami, podszedł do Moryca Szajbe, który z założoną czapką policyjną wszedł w rolę policjanta poszukującego zbiegłego przestępcy.

– Ha, ha, ha, ha – ryknęli wesołością koledzy Jurka, kiedy przechylił się na jedną nogę i podnosząc wolną kulę, zaczął nią energicznie przepychać na bok największy autorytet szkoły.

– Zejdź mi z drogi, ty drapichruście – zaskrzeczał piskliwie na wykładowcę tytułowanego „panie profesorze”.

Wzmógł się rechot audytorium. Nie zabrakło poczucia humoru Morycowi Szajbe. On także był bliski wybuchu śmiechu.

– Jestem policjantem – powiedział uśmiechnięty, jakby dając wiarę ślepcie udającemu kalekę.

– A ja nieszczęśnikiem. A kysz! – ponownie zaskrzeczał Jurek, przepychając się do przodu.

Ogólna wesołość osiągnęła zenit, wywołując wrzaskliwą radość wśród młodych złodziei.

– Oj, bo się zeszczam ze śmiechu! – usłyszał Wołczecki, któregoś z widzów i obok pozytywnej oceny sprawdzianu, były to najprzyjemniejsze słowa, które do niego dotarły w tamtym czasie.

Wkrótce Jurek się zorientował, że niektórzy kursanci, popisujący się palcami wyginanymi jakby były z gumy, byli synami złodziei i ich ojcowie w trosce o zawodową przyszłość dzieci gimnastykowali im dłonie od wczesnego dzieciństwa. Nastaly dni, kiedy za źle wykonane zadanie, nierzadko karano go biciem. Popelniał coraz mniej błędów. Feralnego dnia, tydzień po pierwszej karze cielesnej, przystąpił do ćwiczenia uważanego przez kolegów za bardzo łatwe, podchodził do niego po raz czwarty. Niestety i tym razem zadzwoniły potrącone sygnalizatory partactwa. Wykładowca przydzielił mu porcję chłosty. Co jeszcze gorsze, szef szkoły rzezimieszków nakazał mu wznowienie przedpołudniowego uczęszczania do szkoły dziennej. Jurek był zdruzgotany, Wracając piechotą jesiennym wieczorem 1935. roku do domu ciotki, połykał ściekające do ust łzy. Zdawał sobie sprawę, że nie ma odwrotu i nie może opuścić szkoły złodziejskiej. Przed przystąpieniem do nauki złożył przysięgę, był przekonany, że wyłamanie się z niej oznacza dla niego wyrok śmierci. Pokazano mu kilkanaście fotografii trupów, na których ubraniach widniały

czarne plamy krwi.

– Ci nas zdradzili, a ci zaczęli kapować, a za to przyżeniamy kose¹ – wyjaśnił złodziej, który był jednym z członków weryfikacyjnej komisji i pokazując kolejne fotografie, gładził się po wąsko podgolonych baczkach.

Jurek przeżywał ciężkie chwile, myślał o samobójstwie, jednak w następnych dniach zaopiekował się nim starszy o dwa lata chłopak ze starej złodziejskiej rodziny.

– Słabo gamzasz kminą, czasem nie kumasz, jaka idzie do ciebie nawijka². Chcesz, to cię pouczę – zaproponował kolega chodzący już na doliniarskie akcje. Jasny Lolo – taką ksywę miał starszy kamrat – uwagę Jurka zwracał od pierwszych zajęć. Był wyjątkowo elegancko ubierającym się blondynem o starannie przystrzyżonych lokach. Dbłość o wygląd zewnętrzny była jednym z wymogów szkoły, lecz Jasny – jak potocznie zwracano się do Lolo – w swoich garniturach szytych u drogich lwowskich krawców, prezentował się jak żurnalowy model. Niestety mimo niemal hrabiowskiego wyglądu cechowało go dyskwalifikujące ograniczenie – nie nauczył się dobrze mówić po polsku. Przez to, mimo umiejętności złodziejskich, czuł się niepewnie wśród ludzi z wyższych sfer, a tych najbardziej chciał okradać. Od dziecka nauczony szybkiego mówienia kminą z podziwem słuchał swobodnych wypowiedzi poprawną polszczyzną nowego kandydata na złodzieja Jurka Wołczeckiego.

Jasny okazał się pomocny nie tylko w opanowaniu złodziejskiego żargonu. Ćwiczyli razem uwalnianie się od stosowanych przez policję chwytów. Gimnastykował palce młodszego kolegi. Staczali walki w bokserskich rękawicach, a tu Jurek wykazywał się refleksem i sprytem. Z wdzięczności rewanżował się nauką czytania i starannej wymowy.

Po ponad rocznej współpracy z Lolem Jurek ubezpieczony przez przyjaciela, zadebiutował jako doliniarz. Ukradł w tramwaju portfel pierwszemu frajerowi. Egzamin z poprawnej polszczyzny zdał też Lolo Jasny. Językowy test zaliczył w czasie niedzielnej przechadzki w Parku Stryjskim. Tam koledzy zauważyli dwie uśmiechające się do nich gimnazjalistki. Udając studenta Uniwersytetu Jana Kazimierza, Lolo wywiązał się ze swojej roli znakomicie. Dziewczyny były zauroczone towarzystwem młodych złodziei. Zaprosiły przygodnych znajomych do okazałej willi, którą rodzice jednej z nich pozostawili pod opieką głuchawej służącej. Wówczas Jurek, tańcząc tango płynące z głośnika nakręcanego korbą patefonu, po raz pierwszy zakosztował namiastki rozkoszy. Roznamiętniła go gimnazjalistka, przytulająca się w rytmach sentymentalnej melodii i całująca jego szyję.

Dwa tygodnie później młodzi złodzieje udali się z wizytą do pięknej dziewczyny, aczkolwiek mającej fatalną opinię. Zakochany Jasny Lolo stracił dla niej głowę. Ta znana z urody latawica

¹. Mordujemy nożami.

². Słabo mówisz kminą (żargonem więziennym). Czasem nie rozumiesz, co się do ciebie mówi.

dzieliła mały apartamencik z zajmującą się najstarszym zawodem świata ciotką. Mieszkały na Znizieniu – w okolicy ulicy Zmarstynowskiej, w dzielnicy o ponurej sławie. Dzielnicowa piękność, chcąc w sposób swobodny zażywać intymnych rozkoszy z Lolem, wpadła na pomysł, by jego kompanem zajęła się ciotka. Wręczyła siostrze matki podarowaną przez Lola srebrną dziesięciozłotówkę, za co gospodyni mieszkania nie pożałowała wdzięków młodemu złodziejowi. Wtedy Jurek Wołczecki przestał być prawiczkim.

Przyjaciel Jurka – wytworny Lolo – zginął od licznych ran kłutych zadanych mu nożem przez zazdrosnego kochanka urodziwej dziewczyny. Wówczas, po raz pierwszy Wołczecki użył broni palnej. Postanowił dokonać dintojry i zastrzelić zabójcę bliskiego sercu druha. O rewolwer nagant postarała się rodzina Lola. Jego bracia też ubezpieczali przyjaciela Jasnego, na wypadek, gdyby ktoś zechciał się wtrącić. Akcja rozegrała się na Znizieniu, na oczach wypełnionej klientelą speluny. Szesnastoletni Jurek wypróżnił siedem nabozi z bębienka rewolweru, dziurawiąc z bliska mierzonymi strzałami klatkę piersiową lokalnego zabijaki. Z dymiącym jeszcze z lufy nagantem, wybiegając z knajpy, prawie zderzył się z dwoma policmajstrami zwabionymi rewolwerową palbą. Szczęśliwie dla siebie Jurek zerwał się, biegnąc zygzakiem – tak go uczono w szkole doliniarskiej, by zmylić celującego do niego strzelca. Zaszokowani w pierwszej chwili policjanci, zanim nie zniknął w ciemnościach za zaułkiem, oddali w jego stronę parę niecelnych strzałów.

Mściciel Jasnego Lola, mimo udanej ucieczki z miejsca zabójstwa, nie cieszył się długo wolnością. Zdjęcie Wołczeckiego rozpoznał jeden z policjantów, który ujrzał Jurka z dymiącym rewolwerem w dłoni i chwilę później mierząc do niego z efenki³, parokrotnie spudłował. Fotografiię przyniosła na komisariat zirytowana ciotka. Była zaniepokojona kilkudniową nieobecnością siostrzeńca. Jurek ukrywał się parę dni na jednej z melin. O konieczności opuszczenia przez niego Lwowa zdecydował sam Moryc Szajbe. Kilka dni później do drzwi mieszkania, jego uczciwie prowadzących sklep w Krakowie rodziców, załomotały karabinowe kolby policjantów. Jurek próbował się wyrwać funkcjonariuszom zakładającym mu bransoletki kajdanków. Skoczył na pilnującego drzwi wyjściowych policjanta i stoczył się z nim po schodach na półpiętro. Jednak kilka chwil potem na nadgarstkach zatrzasnęły mu się kajdanki. Ku zgorszeniu wybiegających z mieszkań lokatorów ich młody sąsiad pożegnał się z wolnością.

Po dwóch latach odbyła się trzecia, ostatnia rozprawa z toczących się w Sądzie Karnym przy ulicy Batorego we Lwowie przeciwko Jurkowi Wołczeckiemu. Był 27 sierpnia 1939. roku. Na sądowym korytarzu siostra świętej pamięci Jasnego Lola zaskoczyła pilnowanego przez dwóch policjantów Jurka. Rzuciła mu się na szyję i pocałowała go w policzek. Odepchnął ją eskortujący aresztanta policjant. Jurek zadrapany boleśnie w dłoń poczuł w niej specjalny, ze sprężynowej stali drut wielkości agrafki. Dobrze wiedział co zrobić z podanym mu małym wytrychem. Trzymając

³ „FN” - pistolet marki belgijskiej.

spuszczoną głowę, niby to udając skruszonego, mimo asysty siedzących po bokach policjantów, pracował wolno. Intensywnie się koncentrował, aż na jego czole pojawiły się kropelki potu. Nie interesowały go zeznania dodatkowo powołanych świadków obrony. Pragnął rozpiąć kajdanki. Już myślał, że mu się nie uda.

Boże, pomóż! – prawie pragnął wykrzyknąć. Chciał przekląć swoje niedostatecznie wygimnastykowane palce. Wtem, poczuł ustępującą sprężynę i luzującą się bransoletę na przegubie jednej dłoni.

Na nic się zdała wydana przez rodziców Jurka duża kwota na adwokata, sąd podtrzymał ciężki wyrok dwudziestu lat więzienia. To jedynie podniosło poziom adrenaliny w nadnerczach Wołczeckiego. Opuszczając salę rozpraw, swobodną ręką uzbrojoną w stal bransoletek zdzielił jednego z policjantów w czoło. Drugiemu przywalił potężnego kopniaka kolanem w krocze. Policjant, którego twarz zalewała krew z rany na czole, wyciągnął z kabury pistolet *vis*. Przeladował zamek i... nie ośmielił się strzelić do skazańca biegnącego slalomem między znajdującymi się na korytarzu ludźmi.

* * *

Trudu upodobnienia wyglądu Jurka do urodziwej pannicy, podjęły się dwie siostry ofiary nożownika pomszczonego strzałami z naganta. Wołczecki ukryty u nieznannej policji ciotki Jasnego Lola spędził w urządzonym na mieszczańską modłę mieszkaniu kilka dni. Dziewczyny, zdając sobie sprawę, że mogą być śledzone, do domu krewnej przemykały późnymi wieczorami.

– Całe szczęście, że masz ładną buziuchnę. – mówiła, chichocząca co chwila, starsza z sióstr nakładając na usta Wołczeckiego jaskrawo czerwoną szminkę.

– Wyglądasz jak piękna lalunia. Tylko trochę za wielgachna – powiedziała młodsza, oceniając ich kilkugodzinne wysiłki.

Wesołość dziewczyn wywołały początkowo nieudolne próby Jurka, kiedy naśladował kobiece ruchy i kroki.

– Ha, ha, ha – zaśmiewała się piętnastolatka. – Chodzi jak cwel, istny cwel. Ha, ha, ha. – Prawie płakała z rozbawienia ładna blondyneczka.

Pobłażliwy i uśmiechnięty dotąd Jurek nagle spoważniał i pobałdł.

– Przegięłaś, smarkulo – warknął nagle groźnym tonem.

W saloniku ciotki zapadła cisza. Nie trwała długo. Wołczecki był zakłopotany.

– Przepraszam cię Hesi – zwrócił się po imieniu do młodszej siostry Lola. – Mam za sobą dwa lata odsiadki i trochę lepiej od ciebie wiem, kim są cwele. Więc lepiej unikaj podobnych porównań.

Po paru dniach starań, próby Jurka, by upodobnić swoje ruchy do kobiecych, siostry Jasnego Lola oceniały coraz lepiej i bez poprzedniej wesołości. Wiedziały, że walczył o wysoką stawkę, może nawet o własne życie. W oczach dziewczyn był bohaterem – pomścił ich brata. Żegnając się, zatroskane życzyły mu powodzenia i ucałowały jego upudrowane policzki. Młodsza Hesja wytarła ściekającą po twarzy łzę.

Idącego na Lwowski Dworzec Jurka zdziwiła duża ilość spieszących razem z nim, ubranych w mundury, przeważnie młodych mężczyzn i towarzyszących im osób. Nastąpił ostatni dzień sierpnia 1939. roku. Wiedział o mającej wybuchnąć wojnie, zarządzono powszechną mobilizację. Przebranemu za młodą kobietę uciekinierowi z sądu towarzyszyła ciotka Jasnego Lola. Zabarwioną zielenią wojskowych mundurów halę dworca, wypełniał tłum żołnierzy i odprowadzających ich bliskich. Twarz Jurka pokrytą makijażem przysłaniała zwisająca z kapelusza woalka. Kamuflaż był nienaganny i pewnie nikt z przejętych grozą wojny nie pomyślał, że wysoka dama może być mordercą z listu gończego opublikowanego w gazetach i na afiszach słupów ogłoszeniowych.



Dworzec we Lwowie (widok współczesny)

Atmosferze smutnych pożegnań, wycieranych chusteczkami łez z niewieścich twarzy i pełnych trosk rozmów towarzyszyła znana wszystkim melodia *O mój rozmarynie* grana przez wojskową orkiestrę. Jurek mimochodem podsłuchał rozmowę matki z żołnierzem o twarzy bufona:

– Będę się za ciebie modliła do naszej Najświętszej Pani – mówiła matka całująca dłoń syna.

– Nie martw się mateczko, za dwa tygodnie wyślę ci pocztówkę z Berlina. Szybko pokonamy krzykacza Hitlera.

Ironicznie uśmiechnął się jeden z przepychających się przez tłum wojskowych żandarmów. Ci prezentowali się groźnie, byli w hełmach z paskami pod brodami, a ich karabiny wzbudzały respekt nałożonymi na lufy błyszczącymi bagnietami...

Rozdział 2 Dwór w Zakliczynie

Amelii, siostrze Tadeusza De Trojan Junosza, udało się poprawić swój status materialny, podobnie jak o półtora roku starszej Róży – zamężnej z pochodzącym z magnackiej rodziny Władysławem Hołownią Wielołomskim. Przedtem zazdrościła siostrze życiowego sukcesu. Amelia dopięła swego dopiero w połowie lat trzydziestych. Mając jako posag jedynie urodę, tytuł szlachecki oraz siostrę cieszącą się prestiżem towarzyskim, podobnie jak siostra, awans społeczny zawdzięczała zamążpójściu. Jednak swoim szczęściem nie cieszyła się długo. Wczesną wiosną 1940. roku otrzymała kartkę od męża z sowieckiego obozu internowania w Starobielsku. Jej mąż, włoski hrabia Jan Scipio del Campo, zapewniał, że cieszy się dobrym zdrowiem, pisał o swojej tęsknocie do niej i do *dziecka*. „Dzieckiem”, zamiast żywego potomka, nazwali dwupiętrowy nowoczesny dom na ulicy Krotoszyńskiej 7, na warszawskich Bielanach. Amelia mimo starań i kosztownych kuracji okazała się bezpłodna. Zakochany w niej mąż był cenionym architektem, lecz inicjatywę co do ostatecznego projektu dużej willi scedował na żonę.

– Nam do szczęścia wystarczy jedno duże słoneczne mieszkanie na parterze. – Zaczęła go przekonywać, kiedy po raz pierwszy zaprezentował jej kilka podmalowanych akwarelami szkiców – propozycji ich przyszłego warszawskiego domu. – Całe pierwsze piętro i mieszkanie na poddaszu możemy wynajmować. Musisz zaprojektować niezależną klatkę schodową dla trzech mieszkań. Z opłat czynszowych pozostaną pieniądze na prąd, gaz i wodę, będziemy mieszkali za darmo i ponadto zostanie co nieco na życie – czyniła praktyczne uwagi.

Dotknięta w dzieciństwie oplakanyimi skutkami przedwczesnej śmierci ojca, nie potrafiła nie liczyć się z nieszczęściem, jakie mogłoby i ją dotknąć w wypadku odejścia męża. On dziwił się jej uporowi, nie potrafił sobie wyobrazić, jak żonie dokuczyła bieda we wczesnej młodości. Nie wiedział, że przed laty Amelia po śmierci ojca na obiad spożywała zupę wodziankę z przedtem zasuszonych skórek chleba. Wraz z rodzeństwem wiedzieli, iż od następstw życia w nieustannym głodzie uchroniło ich wynajmowanie przez matkę pokoi w dużym krakowskim mieszkaniu na ulicy Batorego.

Do domu, przy którym prace wykończeniowe mimo walk o Warszawę trwały prawie do połowy września 1939. roku, mieli się wprowadzić w listopadzie. Zamiast Amelii z małżonkiem, na ulicę Krotoszyńską wprowadzili się wysocy rangą oficerowie niemieccy. Zachowali się honorowo, dotrzykali słowa danego w czasie negocjacji z teściową włoskiego arystokraty, świetnie mówiącą po niemiecku. Ustalili wysokość czynszów za trzy mieszkania i przez prawie całą okupację na konto Amelii Scipio del Campo do Banku Emisyjnego wpływała ustalona kwota. Wiadomość o aresztowaniu i internowaniu męża w sowieckim obozie oficerskim otrzymała późną jesienią i

wspominała jako... szczęśliwą. Już myślała, że jej Jasio Scipio del Campo zginął w czasie walk wrześniowych. Szczegóły – jak bestialsko zabito go strzałem w potylicę z prawie przyłożonego do głowy pistoletu przez żołdaka z NKWD – opowiedział jej trzy lata później brat. Stalinowscy oprawcy prowadzili polskich oficerów z rękoma zawiązanymi, z tyłu drutem. Ofiarę prowadziło dwóch żołdaków pod ręce i kazali klękać nad dołem. Klękanie ofiar miało dla zabójców praktyczny sens. Strzelec po wykonaniu setek strzałów miał zmęczoną rękę – nie musiał wysoko podnosić pistoletu. Chwilę przed naciśnięciem spustu przez strzelca dwaj prowadzący, a czasem ciągnący siłą Polaka enkawudziści odskakiwali na bok, by nie obryzgała ich krew. Doły pełne zabitych i konających zasypywały później spychacze. Jeszcze wiele godzin po egzekucjach ruszała się ziemia pokrywająca zbiorowe mogiły.

Te szczegóły na temat masowego zabijania ponad dwudziestu tysięcy polskich oficerów przez Sowieców, wyczytał brat Amelii w Gazecie Krakowskiej, wydawanej przez niemieckich okupantów.

* * *



Dwór w Zakliczynie – zdjęcie

Park otaczający dwór w Zakliczynie urzekł Amelię już za pierwszym pobytom jesienią 1943. roku. Zaprosiła ją tam znajoma, z którą znała się bardzo długo, a spotkała ją przypadkowo na Krakowskim Rynku.

– Krysiu, wiem o twoim mężu – powiedziała i objęła ramionami zaskoczoną kobietę w czerni.

– Och, to ty, ledwo cię poznałam – powiedziała Krysia Jaśkiewiczowa, wystraszona, jakby ujrzała ducha.

Kobiety znały się z czasów, kiedy były podlotkami. Po krótkiej rozmowie, gdy Jaśkiewiczowa dowiedziała się, że koleżanka podobnie do niej utraciła najbliższą sobie osobę, zaproponowała Amelii wizytę w rodzinnym dworze. Kobiety dotknięte takim samym nieszczęściem odczuwały potrzebę wzajemnego pocieszenia się, odreagowania tragedii, z którą nie potrafiły się pogodzić.

Tygodniowy pobyt w zakliczyńskim dworze stał się dla Amelii niemałym przeżyciem. Już pierwszej nocy po przyjeździe z głębokiego snu wyrwało ją pukanie do drzwi.

– Przepraszam, że cię budzę – usłyszała półprzytomna głos koleżanki. – Mamy gości, potrzebuję twojej pomocy.

Gośćmi okazali się partyzanci z obwodu AK Kraków.

– To nasi żołnierze, czasem ich kwaterujemy, a teraz pojawił się ich cały pluton. Ciebie poprosiłabym o pełnienie honorów pani domu i towarzyszenie panom oficerom, ja muszę się zająć rannym. Podaniem herbaty i skromnej kolacji zajmie się kucharka i nasz Feliks – Krysia wskazała głową na stojącego za jej plecami lokaja w podniszczonej liberii.

– Dobrze, zaraz zejść. Trafię sama do jadalni, tylko szybko się ubiorę.

Na widok wystrojonej w elegancki kostium i pachnącej znakomitymi perfumami Amelii, trzech zajętych jedzeniem zupy, odzianych w mundury mężczyzn podniosło głowy. Jeden z nich chciał się podnieść, lecz zaklekotał wiszący na oparciu wysokiego krzesła pistolet maszynowy, co skłoniło go do przytrzymania broni ręką.

– Proszę nie przerywać kolacji i nie robić sobie kłopotu – odezwała się zakłopotana podobnie do wojskowych wdowa. – Po posiłku proponuję panom prawdziwą herbatę z cukrem – dodała, wiedząc, że oferuje rarytas.

Z trójki siedzących przed Amelią oficerów, szczególnie jeden zwrócił jej uwagę. Wyglądał najwyżej na dwudziestolatka, a jego spojrzenie spod ocienionych gęstymi rzęsami oczu wywołało w niej dreszcz erotycznej ekscytacji. Co za piękny młodzieniec – pomyślała i opuściła wzrok, czując, że teraz przygląda się jej urodziwy wojskowy.

Z chorążym Wilkiem, synem właścicieli nieodległego majątku – Amelia spacerowała kilka minut nazajutrz po śniadaniu, po dworskim parku. Przystojny młodzieniec, przedstawiając się, podał jedynie swój konspiracyjny pseudonim. Nazywał się Andrzej Kruk, o czym dowiedziała się od przyjaciółki. W czasie krótkiej przechadzki alejkami, zwracając się do niej per hrabino, opowiadał ze znanstwem o rzadkich gatunkach rosnących w parku krzewów.

– Hrabina wybaczy, mamy wymarsz. – Przerwał wywód na temat panującego w parku

mikroklimatu.

Zobaczyła żołnierzy wychodzących z sąsiadujących z dworem gospodarczych budynków. Poczula na ręce delikatny uścisk ciepłej dłoni. Następnie młodziutki oficer szarmancko się kłaniając, pocałował ją w odsłonięty od rękawiczki przegub ręki.

Spodobałam się wyjątkowo przystojnemu mężczyźnie – urosła we własnych oczach. Chwilę później, przed minutą trzymający jej rękę chorąży, odchodząc z kolumną żołnierzy, pokiwał jej dłonią.